


II/2691

Wpłynęło, dnia 07. LU. 97  
L. dz. 10344

Aldona Piącińska

podglonięty wypłacie  
07.07.1997  


Moja wojenna tułaczka

Przyszli nocą. Byliśmy przekonani, że przyszli aresztować naszego Ojca za to, że przed dziewiętnastu laty walczył jako żołnierz na froncie wschodnim. Przeprowadzili rewizję szukając broni. Kazali nawet wyjąć dziecko z kołyski, żeby mogli ją dokładnie przeszukać. Po rewizji rozsiedli się przez dwie godziny nie odzywając się do nas. Nie pozwolili nikomu wyjść z domu dla nakarmienia inwentarza i w-dojenia krów. O świcie przyjechało sańmi dwóch gospodarzy z sąsiedniej wsi. Wtedy oznajmiono nam, że zostajemy przesiedleni całą rodziną do "drugiej obłasti".

Było to równoznaczne z przepadkiem całego mienia, ale przypuszczam że Rodzice przyjęli tą wiadomość z radością, bo oznaczało to, że Ojciec nie będzie aresztowany, nie zginie w więzieniu, że przesiedlą rodzinę niedaleko, gdzie życie będzie znośne. Sądzę, że za gwarancję przyszłego jako tako ludzkiego życia uważali to, że przesiedlano wszakże małe dzieci. Nikt nie przypuszczał, że owa nocna wizyta żołnierzy to jakby wyrok śmierci. Powolnej śmierci z głodu i zimna, i że właśnie dzieci będą pierwszymi ofiarami.

Pozwolili ładować na sanie co chcemy i ile chcemy. Nie mogliśmy jednak wziąć dużo rzeczy i zapasów żywności, bo drogą w głębokim śniegu trudno było jechać. Ponadto na saniach musiało jeszcze znaleźć się miejsce dla nas wszystkich. Było nas sześcioro rodzeństwa. Najstarsze miało 14 lat, najmłodsze - dziesięć miesięcy.

Pierwsza wojenna zima była niezwykle ostra. Mama posadziła nas na pierzynie. Nogi poowijała lnianymi pakułami i przykryła drugą pierzyną. Rozpoczęła się nasza tułaczka.

Był to dzień 10 lutego 1940 roku.

Razem z nami zabrano także stryjka. Uciekając we wrześniu przed Niemcami znalazł schronienie u nas na wołyniu. Przy załadunku do

wagonów udało mu się uciec. Przeżył wojnę. Aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa zmarł w więzieniu.

Zawieziono nas na stację Werby. Zgromadzono tam dużą ilość wagonów towarowych. Kazano nam wejść do jednego z nich, większość rzeczy zabrano do innego. Zastaliśmy w nim trzy znajome rodziny osadników wojskowych. Później dowieziono jeszcze kilkanaście rodzin leśniczych i gajowych. Razem było nas około 100 osób.

Większą część wagonu zajmowały piętrowe prycze. Na środku stał mały, okrągły, żelazny piecyk. Jako ustęp służyła dziura wyrębana w podłodze zatkana wiechem słomy. Mężczyźni postarali się o drzewo i wodę. Rozpalono w piecu aby nakarmić najmłodsze dzieci. Mama pozatykała wszystkie dziury i szpary w ścianach pakułami, którymi wcześniej owijała nam nogi. "Ustęp" zasłonięto prowizorycznym parawanem.

Drzwi zostały zamknięte z zewnątrz. Pociąg ruszył nazajutrz. Kobiety modliły się głośno. Niektóre płakały. Ci którzy zajmowali górne prycze informowali nas jakie mijamy stacje. Pod dachem wagonu znajdowały się bowiem małe okienka. Swoiste okno na świat. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że pociąg przejechał dawną granicę polską i skierował się na północ. Dorośli zaczęli domyślać się strasznej prawdy. Wywożą nas na Sybir!

Pociąg zatrzymywał się niekiedy na małych stacjach. Dawano nam wtedy po małym bochenku czarnego, gliniastego chleba na rodzinę i pozwalano wyjść z wagonów. Konwojenci ustawiali się z karabinami w pewnej odległości od torów i pilnowali, aby nikt nie uciekł.

Po wodę mężczyźni szli na stację również pod konwojem. Najczęściej jednak uzyskiwaliśmy ją z nabieranego do wiader śniegu. Czasami pociąg jechał tak długo, że brakowało jej. Obłamywaliśmy wtedy przez okienka zwisające z dachu wagonu sople lodowe. Żarły nas wszy. Nie mogliśmy nawet porządnie umyc się. Piecyk był tak mały, że można było postawić na nim tylko jeden garnek. Któryś z mężczyzn znalazł na jakiejś stacji kawał drutu. Zrobiono z niego koszyk na piecyk i odtąd można było gotować jednocześnie w kilku naczyniach.

Na stacjach miejscowi ludzie nie próbowali nawiązać z nami kontaktu. Kraj przez który jechaliśmy wyglądał smutnie i biednie. Dorośli mówili, że trudno nam będzie żyć na Syberii, jeżeli na Ukrainie i Białorusi ludzie żyją tak nędznie. Ci, którzy czytali kiedyś powieść Rodziewiczówny "Anima e willis" pocieszali, że i na Syberii można sobie życie ułożyć. Na zakręcie policzyliśmy wagony. Było ich sześćdziesiąt, a więc w naszym transporcie wieziono ponad pięć tysięcy ludzi.

Jechaliśmy cały miesiąc. Wyładowano nas na stacji Kotłas i wpędzono do wielkiej szopy. W ogromnej ciasnocie i zimnie byliśmy tam dwa dni. Przez ten czas zgromadzono większą ilość sań, na które załadowano nas. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Jechaliśmy w jednej z pierwszych grup, bez żadnego zbrojnego konwoju. Uważano, że nikt nie odważy się próbować ucieczki. /Okazało się później, że jeden samotny, młody leśniczy dokonał niezwykłego wyczynu. Uciekł z Syberii i wrócił na Wołyń. W 1943 r. był dowódcą obrony Przebraża/.

Nocowaliśmy na leśnych polanach przy ogniskach lub w napotykanym wioskach. Miejscowa ludność przyjmowała nas życzliwie, dzieląc się żywnością, której sama miała nie wiele. W jakiejś wiosce bezdzietna kobieta namawiała mamę, aby oddała jej na wychowanie naszą najmłodszą siostrę. Twierdziła, że dziecko nie przeżyje dalszej drogi, nie wytrzyma trudnych warunków, jakie będą naszym udziałem.

Po dwóch tygodniach stanęliśmy w miejscu zesłania: Posiołek Talec, Wierchotojmskij Rajon, Archangielskaja Obłast. Były tam na dużej polanie wielkie baraki z nieociosanych pni sosnowych. Stały na słupach pół metra nad ziemią. Szpary pomiędzy pniami były uszczelnione mchem. Każda rodzina dostała jedną izbę. Były w niej prycze i piece, więc po morderczej podróży byliśmy tak zadowoleni, jakbyśmy dostali luksusowe pokoje w pierwszorzędnym hotelu.

W kilka dni po przyjeździe do posiołka w którym zgromadzono około tysiąca Polaków, zmarła nasza najmłodsza siostra. Miała 12 miesięcy. Mężczyźni i starsi chłopcy zostali wkrótce zatrudnieni przy wyrębie lasu i spławianiu drzewa Dwiną do Archangielska. Prace te wykonywali w odległości kilkudziesięciu kilometrów od posiołka. Pracowali ciężko a zarabiali bardzo mało. Obowiązkiem kobiet i starszych dziewcząt było przygotowywanie drewna opałowego. Cięły także <sup>opałowe</sup> ~~żozę~~ <sup>niekiedy</sup> ~~żozę~~, którą sprzedawano w punkcie skupu na pokarm dla kóz i miotełki do ruskich łaźni.

Może jakoś urządzilibyśmy sobie tam życie, gdyby nie głód. Nasze zapasy kończyły się. Dostawaliśmy wprawdzie po kawałku czarnego chleba i coś, co nazywano zupą. Było tego zbyt mało, aby żyć w tym klimacie. Sytuacja nieco poprawiła się kiedy mężczyźni otrzymali pierwsze wynagrodzenie. Zorganizowano wtedy stożówkę z polską obsługą. Mama wymieniła trochę rzeczy w pobliskim posiołku na mleko i tłuszcz. W lecie otrzymaliśmy kilka paczek żywnościowych od dziadka i innych krewnych oraz jedną paczkę od sąsiada - Ukraińca.

Ludzie z sąsiedniego posiołka powiedzieli, że mieliśmy więcej szczęścia od nich, bo przed dziewięcioma laty przywieziono ich z

Białorusi w połowie zimy i wyładowano z sań wprost w lesie. Zanim zdążyli zbudować jakieś chatki - połowa ludzi, a przede wszystkim mniejsze dzieci - zginęła z zimna i głodu. Białorusini umierali masowo i później. Dlatego z dwóch "posiołków" zgromadzono ich w jednym, a opuszczone przez nich baraki czekały na nas.

W pierwszych miesiącach pobytu "na posiołku" zmarło kilkoro ludzi. Szczególnie utkwiła mi w pamięci śmierć kochanej siostry i starszego bardzo sympatycznego pana. Uciekł on z córką przed Niemcami na Wołyń z Warszawy. Obydwoje zostali zesłani.

Z wszami Mama uporała się szybko gotując bieliznę i ubrania, ale wkrótce pojawiły się jakieś leśne pluskwy. Nie pomagało wstawianie nóżek "łózek" do naczyń z wodą. Pluskwy wlażyły na sufit i stamtąd w nocy celnie spadały na nas.

Po krótkiej wiośnie nadeszło lato. Zaczęliśmy zbierać czarne i czerwone jagody. Było tego tak dużo, że mogliśmy jeść do syta. Robiliśmy zapasy na zimę a resztę sprzedawaliśmy w punkcie skupu chociaż płacono bardzo mało. Zbieraliśmy też dużo grzybów, przeważnie rydzów. Mama soliła je w garnkach na zimę, a także sprzedawała do punktu skupu. Zbieraliśmy jeszcze na bagnach żurawiny póki ich śnieg nie zasypał. Nie obyło się bez tragedii. Jeden z moich rówieśników zabłądził w lesie i nikt go już więcej nie zobaczył. Lato na północy jest bardzo krótkie. Krótka też jest jesień. Kiedy tylko pogoda dopisywała, z młodszą siostrą chodziłam do szkoły w osadzie Białorusinów. Nie wiele tam się nauczyłam, bo nauka odbywała się w języku rosyjskim, który dopiero poznawałam. Poziom nauczania był chyba też nie wysoki. Uczył w niej tylko jeden nauczyciel. Był muzykalny, więc nauczył nas kilku piosenek. Szczególnie utkwiła mi w pamięci ładna piosenka zawierająca słowa: "Ja nie znam innego takiego kraju, gdzie tak swobodnie oddycha człowiek".

Zima na północy była dla nas ciężka. W innych okolicznościach może podziwialibyśmy białe noce i zorze polarne, które pokrywały niebo wszystkimi kolorami tęczy. Myśmy jednak przeważnie myśleli o ciepłym piecu i jedzeniu, którego ciągle było mało. Mięsa nie jedliśmy wcale, tłuszcz mieliśmy bardzo rzadko. Czasami jedliśmy śledzie lub inne ryby gotowane w zupie z głowami i płetwami.

W lecie dowiedzieliśmy się, że Niemcy napadli na Związek Radziecki. Dorosłych ogarnęło wielkie podniecenie - ta wojna musi zmienić coś i w naszym życiu - mówili. Na razie były tylko zmiany na gorsze. Przestały nadchodzić paczki z żywnością, bo nasi krewni znaleźli się po drugiej stronie linii frontu. Trudniej też było kupić coś do je-